

ཤེེེེེེེ

sześć

Mam trzy zdjęcia starego Panczena Rinpocze.

Na pierwszym jest jeszcze młody, dobiega może dwudziestki. Stoi obok Dalajlamy – są w Pekinie, trzymają w rękach bukiety kwiatów. To była oficjalna wizyta w stolicy. W Chinach zaczął się właśnie okres reform, obaj lamowie optymistycznie patrzyli na zmiany, jakie komuniści mogli przynieść Tybetowi. Panczenlama ma na głowie ozdobny kapelusz, ubrany jest w wyszukaną szatę z jedwabiu i brokatu, taką, jaką niegdyś zakładali najwyżsi lamowie, kiedy udawali się w podróż. Wygląda na rozbawionego, pewnego siebie, może nawet lekko aroganckiego, otacza go ulotna aura autorytetu, jakiego oczekuje się od wpływowych *tulku* czy inkarnacji.

Drugie zdjęcie zostało zrobione w Lhasie, dziesięć lat później. Panczen stoi na podwyższeniu, przed nim – kilka dużych, starych mikrofonów. Ma smutną, zmęczoną twarz, widać, że cierpi. Jest nieogolony. Otacza go tłum wrogo nastawionych ludzi, którzy wyraźnie mają nad nim przewagę. Wszyscy ubrani są w typowe dla tamtych czasów bure uniformy, wszyscy wyciągają w jego stronę palce w geście oskarżenia. To sesja „walki politycznej”, zwana *thamzing*, forma prześladowania często stosowana w czasie rewolucji kulturalnej. Takie sesje trwały całymi tygodniami. Wiele lat później, na kilka dni przed śmiercią, Panczen mówił: „Byłem krytykowany, atakowany, pouczany. Otaczała mnie ciemność. To moja własna historia. Inni cierpieli jeszcze bardziej – moja pozycja sprawiła, że traktowano mnie nieco lepiej”. Panczenlama ma zamknięte oczy, wokół jego głowy układa się aureola gwiazd z wiszącej za nim flagi komunistycznych Chin, w tle widać duży portret Mao Zedonga, inspiratora prześladowań, jakby przyglądającego się uważnie całej scenie. Za

chwile Panczen zostanie naznaczony jako „wróg ludu, socjalizmu i Partii” – i uwięziony na dwanaście lat.

Ostatnie zdjęcie – minęło kolejne dwadzieścia lat. Panczen uwolniony już z więzienia stoi na szczycie długich, metalowych schodów i patrzy z wielkodusznym wyrazem twarzy prosto w obiektyw aparatu. Właśnie wysiada z samolotu, który przywiózł go z powrotem do Tybetu, w którym na ulicach czekają na niego tłumy ludzi trzymających *kataki* – półprzezroczyste, białe szarfy, wyraz pozdrowienia i najwyższego szacunku. Jego wzrok jest przenikliwy i pewny, jakby mówił: nic nie może mnie już złamać, przeszedłem prześladowania i nie poddałem się. Widać, że już się nie boi.

Panczen Rinpocze nie był „malowanym świętym”. Był człowiekiem pełnym pasji, porywczym, zawsze szczerym i otwartym. Pod koniec życia bardzo utył. Kochał muzykę, potrawy z baraniny, konie, dobre restauracje i lotnictwo – mawiał, że gdyby nie przeznaczenie, to chciałby być pilotem. Pod koniec życia zrezygnował z monastycznego celibatu, ożenił się z Chinką i miał z nią dziecko. Mimo to dla większości Tybetańczyków, którzy w konspiracji wymieniali się kasetami z nagraniami jego bezkompromisowych przemówień, pozostał bohaterem.

Panczen Rinpocze miał zaledwie 24 lata, kiedy ośmielił się przeciwstawić Partii Komunistycznej w sprawach Tybetu. Podobnie jak wiele innych ważnych postaci czasów przedkomunistycznych, także jemu zaproponowano wygodną posadę i spokój w zamian za poparcie dla nowych władz – po ucieczce Dalajlamy w 1959 roku miał pełnić obowiązki przewodniczącego Ujon Lhenkhang, czyli Komitetu Przygotowawczego do utworzenia Tybetańskiego Regionu Autonomicznego (KPTRA).

Po objęciu granic Tybetu w 1962 roku przygotował szczegółowy raport w formie petycji do premiera Chin, którym był wtedy Zhou Enlai. Raport spisano na specjalnie sprowadzonym z Indii papierze, zespół zaufanych doradców przetłumaczył go na chiński. Współpracownicy Panczenlamy robili, co mogli, starając się namówić go, aby złagodził ton dokumentu, ale Panczen pozostał nieugięty. Powiedział, że przemawia w imieniu ludu Tybetu i nie widzi żadnego powodu, dla którego rządzący nie powinni otrzymać słów uczciwej krytyki. W przedmowie do tłumaczenia angielskiego (peł-